

Droga

Copyright © by Zbigniew Ściubak, 2016

Wydanie pierwsze

ISBN: 978-83-7859-735-3

wrzesień 2015 - sierpień 2016, Lublin

*Nieznajomemu mężczyźnie,
który podał mi szklankę wody*

Dzień 28 Börln

Wstałem o szóstej rano. Słońce. Trzecia uderzeniowa dawka witaminy C. Nie dałbym sobie ręki uciąć, ale chyba działa. Jest lepiej. Minałem jakieś zabudowania przemysłowe i po trzech godzinach doszedłem do rzeki. Elba. Po naszymu Łaba. Stoję i patrzę. Nie jest wcale duża jak Wisła dajmy na to czy Odra. Leniwie płynie w niej woda. Przez rzekę nie ma mostu. Czekam więc na niewielki stateczek. Nazywa się Nixe, jest biało-ciemnozielony i z tyłu ma flagę. Znów zauważam, że nie podobają mi się kolory Niemiec. Są jakieś przygniatające. Polska flaga to co innego. Jakiś w niej optymizm. Jakaś radość. Przestrzeń bieli, emocja czerwieni, wszystko jakoś przetkane wolnością. Bo Polacy zawsze walczyli o wolność. To w nas wrosło. Byliśmy najbardziej wolnym społeczeństwem w Europie. Może za bardzo. Może ta wolność ostatecznie nie wyszła nam na zdrowie i zaowocowała koniecznością prowadzenia tylu wojen powstańczych. Czy jest jakaś równowaga między wolnością a dobrobytem? Życiem spełnionym? Czy wolność to może wartość ostateczna? Jedyna. Taka, dla której poświęcić należy wszystko. W skali społeczeństw to się sprawdza i nie sprawdza. Z jednej strony ludzie wolni są bardziej zaradni i produktywni. Tworzą społeczeństwa bardziej efektywne. Z drugiej strony silna władza jest w stanie skoordynować wysiłek społeczeństwa i ocalić państwo w konflikcie z innymi. Z Elbą kojarzy mi się Napoleon. Choć on był więziony na wyspie o tej nazwie. Ale tu nie daleko miała miejsce jedna z największych jego bitw. Ta, którą przegrał. Bitwa pod Lipskiem. A teraz rzeka, którą przekraczały oddziały, mające zmienić oblicze Europy, płynie nadal, leniwie wygrzewając się w słońcu jak jaszczurka albo wąż. I ja stoję przed nią i czekam na statek. Niemiecki statek, który przewiezie mnie na drugą stronę. A potem pójdę dalej w Niemcy i kto wie, może przez Francję i Hiszpanię. Więc jaki sens miała śmierć tych wszystkich ludzi? Ten cały tumult, jaki kiedyś się przez nią przetaczał? Wojska przychodzą i odchodzą. Narody ciągle żyją. Słońce świeci. Co ma sens?

Razem ze mną na stateczek wchodzi dwójka rowerzystów. Sta-

tek odrywa się od brzegu. Siedzę. Wyciągam nogi. Obok mnie zdjęty plecak. Nixe szybko podąża ku przeciwnemu brzegowi. Za szybko. Nie można odpocząć. Nie można się zanurzyć w tym widoku jak w czasie przeprawy przez Wisłę pod Kazimierzem. Szybko i sprawnie. Wsiadam. Przede mną Strehla. Ze słupa B182, tu wszystko ma swój numer, uśmiecha się do mnie Jörg Jaromin. Ma leciutką przerwę między przednimi zębami. Nic takiego. Jest młody i ładny. Swój chłop. Nawet krawata na ten plakat nie założył. Pewnie takie było zalecenie doradcy od PR. A może sam tak wymyślił? Politycy muszą się przypodobać ludziom. Muszą kupić ich sympatię. Muszą stać się postaciami, z którymi wyborca się zidentyfikuje. Ten gra człowieka z żelaza, tamten szacownego profesora ze złotymi okularami na nosie. Jaromin to swój chłop. Człowiek z sąsiedztwa w rozpiętej koszuli, sztruksowej marynarce. Z Jörgiem można pójść na mecz i oglądając Bundesligę, wypić ze dwa piwa. Można z nim na wycieczkę, do szkoły. Można i samochód naprawiać, gdyby teraz naprawiało się jeszcze samochody. Ale gdzie tam. Teraz wszystko do specjalizowanego serwisu. Człowiek już nic nie może, tylko dostarczać pieniędzy. Specjalizacja jest coraz węższa. Zależności coraz głębsze. Tylko odważni, jak ta rodzina z Kamenz, próbują żyć ekologicznie. Jak najwięcej robić samemu. Ale to droga donikąd w dzisiejszym świecie. Więc myślę, że Jörg na szefa Strehli się nie nadaje. Szefem powinien być ktoś poważny. Ktoś, kto podejmuje decyzje, troszczy się o powierzonych mu ludzi. Taki, ktoś na kim można polegać, a nie ktoś z kim można się zabawić. Nie potrzeba ludziom kumpla, tylko punktu odniesienia. Jörg Jaromin wierzy jednak w swoją gwiazdę i występuje w tej karuzeli próżności. Życzę mu sukcesu, choć jak widzę po plakacie, już po wyborach.

Za Strehlą idę polnymi drogami. Jest ciepło, pusto. Tylko błękit nieba, ciągnące się po widnokrąg pola i ja, przemieszczający się punkt po mapie. Dlaczego oni sadzą tyle tego jęczmienia? Piwo z tego robią czy chleb? Chleb to raczej z pszenicy i żyta. Jęczmień? Na prawo ode mnie mój wzrok przykuwa czerwony kobierzec. Jak sięgnąć okiem, maki. Cudnie wyglądają w tym słońcu. Pod tym niebem. Kobierzec faluje i skrzy się z każdym podmuchem wiatru. Uśmiecham się. Piękne kwiaty. Czy to ktoś posadził? Chy-

ba tak, zbyt równy obszar jest czerwony, żeby posiały się przypadkiem. Trwam tak jeszcze chwilę w tej czerwieni. Jestem bardzo głodny. Ani w Zeithain, ani w Strehli nie kupiłem nic do jedzenia. Żołądek mi się kurczy. Przy drodze, tuż obok usianego pszenicą pola, stoją czereśnie. Zatrzymuję się. Sięgam. Słodczy. Rozlewa mi się po ustach. Przemykam oczy. Nic mi nie było po ostatnich czereśniach, więc chyba można jeść. Oczywiście rozsądek krzyczy, że zboża były na pewno przyskane i teraz na tych czereśniach jest mnóstwo jakichś okropnych nawozów chemicznych. Dziwne. Całkiem mnie nie obchodzi to, co mówi rozsądek. Zresztą, czy można mu przypisać takie właśnie imię? Rozsądek? Co to jest rozsądek? To sztuka rozsądzania. Co dobre, co złe, co korzystne, co szkodliwe. Nasze ciało samo wie co dobre, co złe. A w mojej sytuacji muszę coś jeść. Po prostu muszę. Więc ryzykuję. Zdejmuję z siebie plecak. Będzie mi wygodniej sięgać gałęzi. Jestem wysoki, to dobrze. W moich ustach znikają kolejne porcje. Słodczy ma w sobie coś uzależniającego. Chce się więcej i więcej. Nie przerywam. Naginam gałęzie. Wypluwam pestki. Wprost przed siebie. Jem, tak z dziesięć minut, może dłużej. Nie potrafię oszacować, ile zjadłem. Kilogram to pewne. Czuję się pełny. Nie dam rady więcej. Zadowolony, zakładam plecak z powrotem. Biorę do rąk kije. Ruszam dalej. Kiedy byłem jeszcze w Polsce, zastanawiałem się nad sensem brania tych kijów. Dodatkowy ciężar, dodatkowy kłopot. Nigdy z nimi nie chodziłem. Teraz wiem, jak bardzo się przydają. W Niemczech dodatkowo do zaczepiania gałęzi z czereśniami. Oni te czereśnie chyba sadzą specjalnie, żeby ludzie i ptaki miały co jeść. Nie wiem. U nas takich drzew wolno stojących mało się spotyka.

Na osiem kilometrów przed Börlin, robię sobie odpoczynek. Muszę się zebrać w sobie na ten ostatni odcinek. Zdejmuję buty. Zdejmuję skarpety. Przyglądam się swoim stopom. Nic specjalnego. Nie ma krwi ani jakichś deformacji. Ot, zmęczone stopy. Odchyłam się do tyłu, kładę plecy na trawie. Na moją twarz pada ciepłe słońce. Mrużę oczy. Patrzę w niebo. Ten błękit wciąż mnie porywa. Wciąż mam, gdy w niego patrzę, odczucie spadania. Jakbym mógł się w nim pograżyć, pędzić jak ptak, jak obłok, jak ryba w oceanie. Jak... sam nie wiem jak. Nie potrafię znaleźć

określeń na to, co mi się zdaje. Co ja bym mógł w tym błękanie robić. Jak być, jak pędzić, jak sunąć wysoko, nad polami, miastami, rzekami. Jak zgubić się w Nim... który jest Miłością, celem, wszystkim.

Idę po znakach, po szlaku. Jest takie dobre uczucie, fajne, pozytywne, satysfakcjonujące, stabilizujące, że idę po szlaku. Idę właściwą drogą. Jestem na ścieżce, która prowadzi do celu. Co innego, gdy idzie się „na przełaj”. Nie po znakach, nie po szlakach, tylko tak po prostu. Wtedy każdy krok jest decyzją, każdy kilometr niepewnością. Nawet jeśli ma się mapę, nawet jeśli pomaga się GPS-em, to uczucie jest inne, całkiem inne. Przywiązany jestem do takiego uczucia pewności. Że wiem. Że wszystko jest w porządku. Że łatwo przewidzieć, gdzie dojdę. A jednak. Z takiego uczucia zrezygnowałem, wychodząc z domu. Więc jest coś więcej. Jakieś pragnienie, by wyjść poza szlak. To znaczy poza to, co pewne i przewidziane. Poza to, co określone i opisane. Poza to, co powinno być. Jedno i drugie, to zadowolenie z przewidywalności i to pragnienie jej przekroczenia, całkiem spokojnie sobie we mnie mieszkają. Jakby były dwiema siostrami, które pędzą swoje życie w niewielkim domu w południowych Włoszech. Dach jest ze strzechy, bo tu ciepło. Nieopodal Adriatyk albo Może Śródziemne. Owady czasem brzęczą pod dachem. Do domu prowadzi wybrukowana kamieniami ścieżka. Okiennice są półotwarte. Nikt się nigdzie nie spieszy. Tuż przy progu leży czarny kot w białe łaty i leniwie mruży oczy. Przewidywalność z pragnieniem jej przekroczenia, nawet czasem się nie zauważają. Wchodzą do tego domu. Robią jakieś porządki. Czasem któreś zrobi sałatkę śródziemnomorską. Po czym wychodzą, by znów powrócić. Podobno w telewizji nadają program, że tak nie może być. Że wszystko musi być logiczne i wyjaśnialne, i oparte na jasnych zasadach. Tu telewizja nie dociera. Dociera tylko ciepłe słońce popołudniem. I daleki szum morza. I kołyszają się łodygi traw. I... biegnie życie.

Rozglądam się nerwowo po ulicy, do której doszedłem stromym, wąskim zejściem w dół. Jasna cholera nie widzę znaku. Pod górę nie wrócę. Znaki Via Regia czy też Oekumenische Pilgerweg doprowadziły mnie właśnie tutaj. I klops. Może coś pomyliłem. Może nie zobaczyłem jakieś skromnej, nieśmiałej, przyciskającej

swą spódnicę do dołu, strzałki. Figa z makiem. Uważałem. Jasny gwint. Nerwowo robię kilkadziesiąt metrów w jedną stronę. Żadnych wskazówek. Ulice, domy, Dahlen. Wracam, idę w drugą stronę. Lustruję załomy domów, uliczne latarnie, parkany, słupki przy chodniku. Nic. Zero znaków. Wyjmuję komórkę z GPS. Trwa wyszukiwanie. Jeszcze raz przemykam wzrokiem po wszelkich dostępnych elementach otoczenia. Nie znajduję wskazówki. Otwieram mapę. Próbuję znaleźć, gdzie jestem. Trwa wyszukiwanie. Całkiem jak na złość. W okolicach Zgorzelca GPS ustawia się po pięciu sekundach. Praktycznie natychmiastowo. Tutaj, wewnątrz Niemiec, w jakimś Dahlen, mija pięć, dziesięć minut, gdy chodzę po tym mieście, usiłując odnaleźć z grubsza chociaż kierunek. Najważniejsze nie pomylić się przy wyjściu z miasteczka. Bo potem trzeba będzie wracać i naddawać kilometry, a etap jest długi i jestem zmęczony. Po kilkunastu minutach GPS się wreszcie ustawia. Częstuję go wyzwiskami na temat jego skuteczności. Cóż on winien? Czy to on ustawia satelity krążące nad Ziemią? Obracające w naszą stronę swoje anteny i nadające nieustannie sygnały, pozwalające ustalić pozycję geograficzną? Szedłem dobrze. Teraz się upewniam. Chwilę później odnajduję znaki. Plama czasu z niepewnością, kończy się za moimi plecami. Teraz już prosto do herbergi, jakieś pięć kilometrów.

Do Börln docieram po osiemnastej. Jest kirche, ichniejszy kościół. Nawet oznaczenie, że tu nocleg. Naciskam biały przycisk. Bim, bam – słyszę w środku. Jeszcze raz. I jeszcze raz. Wydaje mi się, że słyszę jakieś kroki. Nadstawiam ucha. Jeszcze raz, bim, bam. Nasłuchuję. Cisza. Zdejmuję plecak. Kije opieram o ścianę. Siadam na niewielkich schodkach przed drzwiami. Podpieram głowę. Osiemnasta piętnaście. Nie wiem co dalej. Czy ktoś przyjdzie, czy nie? I tak nie mam już siły nigdzie się ruszyć. Nogi mi pulsują bólem. Stopy parzą w butach. Siedzę w kucki. Liczę czas. Niczego się nie boję i o nic się nie martwię. Już tu zostanę, tak czy inaczej. Najwyżej gdzieś obok zaparkuję w trawie. Może nie będzie padać. Pogoda była przecież dobra. Zdaje mi się, że znów coś słyszę w środku. Jakies szuranie i kroki. Omamów jeszcze nie mam. Podrywam się i dzwonię. Nawołuję. Po niemiecku rzecz jasna. Jeszcze raz. Cisza. Dziwne. Siadam. Z prawej strony, zza

rogu budynku wynurza się jakiś mężczyzna. Niższy ode mnie. Siwe włosy okalają pozbawione włosów czoło. Ubrany jest w strój do jazdy na rowerze, przez co jego nogi wydają się śmiesznie cienkie, takie pałkowate. W zasadzie postać jakby bajkowa. Mógłby śmiało występować w roli jakiegoś mądrego skrzata, mieszkającego w domku w lesie i pichcącego w kotle receptury na wszystkie dolegliwości. Jaką rolę ja mógłbym grać? Patyczaka obieżyświata? Coś do mnie mówi. Nic nie rozumiem.

– Langsam, langsam bitte – staram się zmienić tok jego narracji. Tłumaczę, że jestem pielgrzymem i chcę zostać na nocleg, ale zamknięte. Wydaje mi się, że on mi tłumaczy, że szefowa już poszła do domu i nie wróci. – Trudno – odpowiadam – już tu zostanę.

Mężczyzna przygląda mi się przez chwilę, jakby próbując zrozumieć wszystko, co mówię. Dostrzega plecak i kije. No i muszlę Jakuba na mojej szyi.

– Komm – mówi i rusza w prawo.

Wstaję, łapiąc plecak i kije. Idę za znikającą postacią. Mężczyzna skręca w prawo. Idziemy wzdłuż bocznej ściany budynku. Potem jeszcze raz w prawo. Tu drzwi stoją otworem. Pokazuje mi, żebym wszedł. Wewnątrz zwykła, trochę zagracona salka. Jakieś stoły i krzesła. Na podłodze pod oknem rozścielony granatowy śpiwór.

– To mój – mówi do mnie. – Ty jak chcesz, możesz spać tu – pokazuje miejsce pod ścianą. – Dobrze? – pyta i uśmiecha się.

– Dobrze – reaguję uśmiechem. Mam trzy metry kwadratowe szczęścia. Wiele człowiekowi do szczęścia nie potrzeba. Trochę zjeść, trochę wypić, dach nad głową, i żeby nie bolało. I to wszystko. Naprawdę. Życie człowieka w podróży ulega strasznie mu uproszczeniu. Błogosławionemu uproszczeniu.

– Jesteś głodny? – pyta się z wyraźnym zatroskaniem.

– Nie – kręcę głową. Czuję jeszcze te czereśnie w środku. – Ale chce mi się pić. – Było gorąco, a ja wszystko wypilem po drodze. Z piciem jest największy problem. Woda jest ciężka.

– Wasser? – pyta.

– Ja wasser.

– Komm.

Pokazuje mi czajnik i zlewozmywak. Będę mógł się napić. Jak cudownie. Dziękuję mu, jak potrafię. Wyciągam swój kubek z Miłowic. Co ja bym bez niego zrobił? Co bym zrobił bez tego prezentu od księdza pielgrzyma? Może kupiłbym jakiś po drodze? Może nie. Woda bulgocze. Chwilę później herbata pachnie. Wracam do salki. Zaczynamy rozmawiać. To bardzo trudna rozmowa. Bo ja po niemiecku niewiele, a Niemiec, który mnie tu wpuścił, nic po angielsku. Ale krok po kroku przełamujemy lody. Nazywa się Herman. I pielgrzymuje na rowerze. Coś opowiadamy o swoich rodzinach. O pielgrzymowaniu. Gdy Herman dowiaduje się, że idę z Polski do Santiago reaguje niemieckim: – Super! Cieszy mnie to. Podoba mi się. Niemcy reagują na taką informację pozytywnie. Jako coś fajnego i dobrego. Polacy zawsze w ten sam sposób: – O, to jeszcze daleka droga przed panem. Powoli zasób słów nam się kończy. Za oknem się ściemnia. Jutro czeka mnie strasznie długi etap, trzydzieści siedem albo więcej. Rozścielam na podłodze cienką folię malarską, na niej dopiero karimatę i mój czerwony śpiwór. Polubiłem jego kolor. Jest żywy i gorący. Jak kolor maków na mijanych na polu. Przebieram się do spania. Nie śpię w tym, w czym chodzę. Prysznica nie widzę, więc i tak nie będzie luksusowo. Słyszę, jak Herman zaczyna pochrapywać. Czy ja chrapię? To wielka zagadka. Niektórzy mówią, że tak. Ale siebie na tym nie złapałem. Zapadam się w sen, wśród tych rozważań.

Dzień 113 Almuña Luarca

Szlag by trafił te oznaczenia. W pewnym miejscu była strzałka przed rozwidleniem. Właściwie to nie wiedziałem, czy wybrać drogę na wprost, czy w prawo. Przyglądałem się i przyglądałem tej strzałce. Dwaj Niemcy, których wyprzedziłem wcześniej, znów pojawili się z tyłu za mną. Skręciłem w prawo i teraz idę i idę, a żadnych znaków już nie ma. Trzeba było pewnie pójść prosto. Niemców też nie ma. Widać wybrali właściwą drogę. A może usiedli i się naradzają, już ponad pół godziny... Wyciągam swój GPS i sprawdzam położenie. Mogę do Luarca iść przez las krótszą drogą albo ruszyć wzdłuż szosy, która najpierw robi łuk w prawo i dopiero potem zawraca na zachód. Zanurzam się w krainę drzew. Są jakieś poskręcane, trochę bajeczne, krzewy, poszycie, wszystko się pieni dookoła mnie. Droga trawiasta jakby pijana kręci się to w lewo, to w prawo, wreszcie podrywa się w górę. Trawa ustępuje miejsca glinie. Zatrzymuję się. To nie tędy. Uru-chamiam ponownie wyświetlenie mapy. GPS pokazuje mi, że zszedłem z właściwej drogi o prawie sto metrów. Tylko że ja stoję na tej drodze i to jest jedyna droga przez las. Mapy... darmowe mapy Hiszpanii nie są dobrej jakości. Coś tam pod nosem klęę i zawracam. Zejście w dół, te same zakręty tylko w drugą stronę, metry i minuty, dobrze, że etap w sumie krótki, ale mam rosnące poczucie, że się zgubiłem. Decyduję się iść wzdłuż szosy, przynajmniej nie zginę. Po kilkuset metrach, jak gdyby nigdy nic, znów pojawia się z boku znak Camino, zachęcający do wejścia na pnącą się w górę wąską ścieżkę. Pochyliam się, bo nad tą dróżką wiszą ramiona drzew. Jest stromo i wąsko. Zagłębiam się stopniowo znów w las. Zakręty, wzniesienia i spadki powodują, że tracę orientację. Pilnie szukam żółtych strzałek lub muszli. Las jest gęsty, zielono-żółto-brązowy. Trzymam się po prostu ścieżki, która w końcu wyprowadza mnie na trochę otwartej przestrzeni. Przede mną ogrodzenie z siatki, w dole, za nim, biegnie autostrada. Wzdłuż tej siatki szeroka droga z twardą nawierzchnią. To chyba tędy. Ruszam dalej przed siebie. Las po mojej lewej stronie jest ciemnozielony, twardy, nieprzenikniony. Żebrzę wzrokiem o pod-

powiedz, o mały żółty kształt informujący mnie, że jestem na właściwej ścieżce. Nie chcemy błędzić. Chcemy jakiejś pewności, że to co robimy, to dokąd zmierzamy, ma jakiś sens. Że idziemy w zamierzonym kierunku. Zgubić się, to znaczy skutek własnego wysiłku, dojść nie tam, gdzie się chciało. Dlatego szukamy, chcemy się upewnić, potrzebujemy potwierdzeń. Ale czy jakieś inne oprócz naszego otwarcia się na Prawdę, na Życie, na Wszystko, będzie nam dane? Na co dzień znajdujemy te potwierdzenia w słowach, w naukach, które ogłaszane są z niezwykle uroczystych miejsc i pozycji. Nasi nauczyciele serwują nam przepisy na życie, wskazówki i drogowskazy, które niezawodnie nas doprowadzą. Czy aby sami jednak wiedzą... co mówią? Czy tak się nauczyli i powtarzają? Czy cnotą nie stało się powtarzanie? Kopiowanie? Samoupewnianie się co poprawności wybranego szlaku? Z Bogiem jest taki problem, że jest on niewidzialny. Za to widzialni jego przedstawiciele, właśnie... czy to jego przedstawiciele? Czasem tak, czasem... Każdy jest ułomny. Więc jak w tym życiu, jak w tym gąszczu zdarzeń, ludzkich zachowań, sytuacji rozmaitych, znaleźć żółte strzałki? Jak znaleźć potwierdzenie, że nie idziemy na manowce? Wreszcie, po blisko dwóch kilometrach, napotykam upragniony znak, mam skrócić w prawo, na wiadukt biegnący ponad autostradą. Jego nawierzchnia jest z szarego, popękanego asfaltu. Farba, na barierkach z obu stron, też zdaje się powoli spływać z deszczem i z upływem czasu. Na wprost widać szeroki pas oceanu. Ciągłe siwo. Zieleni w widocznych kępach drzew tyle, co kot napłakał. Droga staje się trawiasta i biegnie wzdłuż brzegu. Dobrze jest tak... iść z Atlantykiem po swojej prawej stronie. Dobrze z wielu względów. Pierwszy to taki, że człowiek wie, gdzie jest. Nie tak jak w leśnym labiryncie. Druga sprawa jest bardziej osobistej natury. Ja po prostu lubię morze. W jakiś sposób kojarzy mi się ono z brakiem granic, z wolnością, z tym że wszystko jest możliwe, z tym że można, z tym że jestem jakoś – u siebie. Wychozę w końcu na twardą drogę. To już blisko. Szlak prowadzi do Luarca. Pytam jakąś kobietę, czy mówi po angielsku.

– Tak, trochę – odpowiada, od razu zaskarbiając sobie moją sympatię.

– Nie wie pani jak dojść do albergi w Almuña?

– O, to musi pan tu skrócić w lewo. Tędy – pokazuje, widoczną za moimi plecami, drogę. – Potem skróci pan w prawo. Po lewej stronie będzie taki duży supermarket, alimerka. Potem w lewo i dojdzie pan do albergi.

Ot taki dobry duch, dobry człowiek, sprzyjający zbieg okoliczności. Dziękuję jej i idę za jej wskazówkami. Spoglądam na zegarek, jest przed trzynastą. Po mojej lewej stronie kwadratowy trawiasty plac o nierównej nawierzchni. Wzdłuż jego krawędzi ustawiane są pokraczne rzeźby z rdzewiejącego materiału. Jakież stwory ni to kosmitów, ni to demonów. Nie mam pojęcia, co to może być. Są kanciaste i pokraczne. Nie ma w tym, żadnej symetrii, żadnego piękna. Nie ma w tym żadnej poznawalnej dla mnie myśli, oprócz wrzeszczącego tymi kształtami chaosu. Rozdzierającego przestrzeń, brudzącego krajobraz. Ludzie jakoś wyrażają się w swoich dziełach. W sztuce, którą tworzą. Jak wyrażają się Hiszpanie? Może w stanie ciężkiego upojenia alkoholowego, byłbym w stanie coś takiego wymyślić, ale i to chyba nie. Zostawiam zbiorowisko pokracznych postaci. Mijam alimerkę i dwie ulice dalej, skręcam w stronę albergi. Wreszcie ponownie widzę żółty znak wskazujący drogę. Kilkaset metrów i docieram do sporego, wolno stojącego, domu. Na werandzie starszy Hiszpan pali papierosa. Wygląda, jakby siedział tu już kilkanaście lat i nikt nie przyszedł.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiada.

– Można tu dzisiaj zostać na noc?

– Pewnie, że można.

Z jakąś powolnością, pomieszaną z ociąganiem, podnosi się ze swojego krzeselka. Wchodzimy do wnętrza.

– Tu jest kuchenka mikrofalowa, tu grill. Wodę trzeba brać z łazienki – tłumaczy.

Sala dla pielgrzymów jest pusta. Pomalowane na żółto, piętrowe, metalowe łóżka wyglądają na nowe. Miejsc jest, pewnie, na więcej niż dwadzieścia osób. Jednak jestem sam.

– Może pan wybierać – podpowiada hospitalero. – Tam jest łazienka i toaleta – wskazuje na drzwi po przeciwnej stronie.

Kiwam głową, że rozumiem.

– Coś panu potrzeba?

– Nie. Dziękuję. Dam sobie radę. Nikogo więcej nie ma? – pytam, rozglądając się trochę bezradnie dookoła. Czy będę sam w całej tej alberdze? Gdzie Niemki? Gdzie Szwajcar? Gdzie Hiszpanie?

Hospitalero wzrusza ramionami i wraca w kierunku swojego krzeselka. Zrzucam swoje tobołki na łóżko. Kładę się na chwilę, żeby odpocząć. Wstaję jednak szybko. Alimerka to skarb albo skarbiec. Nie mogę przepuścić takiej okazji.

– Pójdę do supermarketu – oznajmiam, zatapiającemu się w niebyt hospitalero. Wydaje mi się, że skinął głową. A może wcale nie skinął, tylko głowa głębiej mu się wsunęła w te jego ramiona?

Do supermarketu jest niedaleko. Ceny rewelacyjne. Kupuję sobie spory talerz pizzy. Jest przecież mały piekarnik, to zjem wreszcie coś na ciepło. Do tego, wszystkie standardowe zakupy. Woda, sardynki, ser, pieczywo, arbuzy. Obładowany, ale szczęśliwy, wracam do schroniska. Jest ciągle pochmurno i mokro. Powietrze robi się chłodniejsze. Gdy wchodzę, czuję się niemal winny, że jestem tu tylko sam. Hospitalero wtapia się coraz mocniej w swoje krzesło, jego rysy się zamazują, jakby tracił esencjonalność swojego istnienia, jakby stawał się nie w pełni materialny. Tylko dym unoszący się z jego papierosa dowodzi tego, że faktycznie tu jest i siedzi, i pełni swoją służbę. Pizza trafia do piekarnika. Na dźwięk szczęki jego pokrywy hospitalero wynurza się ze swojego niebytu i pojawia obok mnie z radami, że może lepiej w kuchence mikrofalowej.

– Ona też ma piekarnik – sugeruje.

Nic z tego. Chcę pizzy z normalnego piekarnika. Hospitalero ulega i udziela mi instrukcji jak ustawić czas pracy urządzenia. W końcu przecież widzę. Są cyfry: 2 min, 3 min, 5 min. Czytać przecież potrafię. Ustawiam właściwą liczbę i urządzenie zaczyna pracować. Mój gospodarz rozwiewa się w tym czasie i znika w swojej nieobecności przed albergą. To znaczy tak się domyślam, że tam właśnie znowu nie istnieje. Bo tu, obok mnie, go nie ma. Wędruję do łazienki i napełniam dwie, znalezione obok kuchenki, szklanki. Wracam i wstawiam je do mikrofalówki. Będzie herbata. Oba urządzenia szumią i brzęczą. Piekarnik jest stary, ale zapach

pieczonego ciasta, jaki się z niego wydobywa, rozjaśnia dzień wokół mnie. Słyszę jakieś głosy u wejścia. Pewnie następny pielgrzym. Może w końcu on wydobędzie hospitalera z tego niebycia. Bo hospitalero istnieje o tyle, o ile istnieją pielgrzymi, którzy tu przychodzą. Jeśli nie ma pielgrzymów, to znika hospitalero, choćby nie wiem jak się starał być i istnieć. Bo jesteśmy tylko w relacji, bo jesteśmy tylko w odbiciu, bo nie jesteśmy sami. Nigdy nie byliśmy i nigdy nie będziemy. Człowiek tak nie może istnieć. Sam dla siebie. Sam ze siebie. Może nic, nie może tak istnieć? Może jedyną formą istnienia jest właśnie relacja, coś co jest wymianą, biegiem pomiędzy dwoma stronami. Wtedy, pragnienie niezależności, wyłączenia się, bycia samemu sobie, byłoby pragnieniem nieistnienia. Przejścia w fazę mgły, w czas strasznego rozerwania, między tym co nam pisane, tym by w pełni być, a tym co zrobiliśmy, tą decyzją, by zapaść się w samego siebie, odciąć od tego wszystkiego, z czym współistniejemy, od świata, od ludzi, ostatecznie od tej podstawy, która wszystko utrzymuje w istnieniu, od Miłości, od tego, czemu nadajemy nazwę – Bóg. Odgłosy przenoszą się w moją stronę i przede mną staje młody mężczyzna o krótko przyciętych włosach.

- Cześć – mówi do mnie po polsku i wyciąga rękę.
- Cześć – odpowiadam ze zdumieniem.
- Jestem Staszek. Widziałem twoje dane, jak wpisywałem swoje. Skąd idziesz?
- Z Polski.
- Z Polski?
- No z Polski.
- Ale skąd?
- Z domu. Z Lublina.
- Wow. No to gratulacje – ściskamy sobie jeszcze raz rękę.
- A ty skąd? – pytam.
- Studiuję w Warszawie.
- Co?
- Astronomię.
- Wow – tym razem ja reaguję z podziwem.
- E tam – Staszek macha ręką.
- Co?

– To nic takiego. Idę zająć łóżko.

Od frontu słychać następne głosy. Hospitalero chyba dzisiaj całkiem się zmaterializuje. Staszek znika, a w drzwiach pojawia się Taka – Japończyk, z którym szedłem i spałem w tych samych albergach wiele dni temu. Obaj się uśmiechamy. Spotkania znajomych ze szlaku mają w sobie jakieś ciepło. Serdeczność szczerą, prawdziwą, ludzką. Nie robimy „misia”, to chyba nie leży w kulturze Japonii. Zresztą w naszej kulturze raczej między najbliższymi. Ale w tym zwykłym uścisku ręki jest tyle, co w objęciu, a może i jeszcze więcej. Mężczyźni nie są z natury wylewni. To nie znaczy jednak, że w ich oszczędnych czasach gestach, nie ma jakiegось silnej i znaczącej treści. Po Takahashim przychodzi jeszcze jeden pielgrzym – Hiszpan. Biorę Staszka i Takę na stronę i przedstawiam ważną propozycję:

– Słuchajcie, a może zrobilibyśmy sobie taką uroczystą kolację. Kupili butelkę wina i tak dalej.

Trafiam w gusta i oczekiwania. Taka właśnie wybierał się do alimerki.

– Ale jakie wino kupić? – pyta Japończyk.

– Czerwone, wytrawne za jakieś cztery, pięć euro – podaję wskazówki. Wcześniej byłem w tym markecie i mimowolnie zrobiłem lustrację asortymentu. Słodkich win nie lubię. Te najtańsze po dwa euro, chyba niewarte próbowania.

Takahashi znika, a ja ze Staszkiem zaczynamy rozmawiać. Idzie z Bilbao. Ma ze sobą prawdziwy aparat fotograficzny. Co to jest prawdziwy aparat? To lustrzanka z wymiennymi obiektywami. Ma dwa takie obiektywy, ale mówi, że używa głównie jednego.

– Sporo kłopotu ze zmianą – wyjaśnia.

– Idziesz do Santiago? – upewniam się.

– Tak, ale może nawet bardziej idę do Finisterry. Chcę dojść na koniec świata.

Opowiadamy sobie o naszych doświadczeniach na szlaku. O tym, jak się szło, kogo się spotkało. Mówię mu o trochę przykrym moim doświadczeniu z Avilés, gdy niemieckojęzyczni pielgrzymi przeszli przy mnie z angielskiego na niemiecki, wyłączając mnie tym samym z rozmowy.

– Miałem to samo na jednym noclegu. Mnóstwo Niemców było i mówili tylko po niemiecku. Trochę to mało przyjemne, bo przecież znają angielski.

Obaj zauważamy, że przy Tace używamy angielskiego. Bo jesteśmy razem. Bo jesteśmy pielgrzymami. No nie tylko nie wyłączamy go z naszej rozmowy, ale i on, słuchając czy coś mówiąc, coś do niej wnosi i po prostu ją, i nas, ubogaca. Jest wtedy bardziej kolorowo, żywo, przestrzennie. Choć za językiem się tęskni i sami ze sobą gadamy po polsku.

Gdy Taka wraca, idziemy na ucztę. Mamy problem – jak otworzyć butelkę.

– Może hospitalero ma – zastanawiam się głośno.

– Korkociąg? – pyta Staszek.

– No korkociąg.

– Ale skąd?

– Nie wiem. Co jak co, ale korkociąg to Hiszpan chyba powinien mieć – prowadzę logiczne rozważania.

Hospitalero, całkiem wydobyty już na świat rzeczywisty ze swojego poprzedniego rozmycia, wita moje pytanie z naturalną otwartością. Oczywiście, że ma korkociąg. Dlaczego miałby nie mieć? Znika za jakimiś bocznymi drzwiami i po chwili pojawia się, niosąc w dłoni potrzebny przyrząd. Wino jest pyszne, intensywne w smaku i kolorze. Nie żaden cienkusz. Słowa pojawiają się zupełnie spontanicznie. Tak samo, jak spontanicznie pojawiają się kwiaty na zielonej łące. Zdobia ją kolorami, tworzą na niej wzory, są przejawem życia. Niestety jedna ze szklanek, w której gotowałem wodę, pęka. Przy pomocy papieru toaletowego osuszam stół. Taka mówi, że teraz będzie już szedł bardzo powoli. Może zostanie gdzieś na dłużej z powodu nadmiaru czasu przed lotem do Japonii. Żartujemy i gadamy poważnie. Trochę o Polsce, trochę o Japonii. Wieczór gęstnieje. Robi się zimno. Gdy kończymy, na zewnątrz jest już noc. Zaczął właśnie padać deszcz, więc asfalt się błyszczy w świetle pobliskiej latarni. Hospitalero rozpuł się w powietrzu. Pewnie zmaterializował się teraz w cieple swojego domu. Gdzie jasno, bliscy i znajomi. Gdzie jego życie biegnie na co dzień, a tu tylko czasami, balansuje na granicy snu i jawy. W alberdze jest zaledwie kilka osób. Wszyscy moi towarzy-

sze, z poprzedniego noclegu, poszli najwidoczniej do Luarca. Stoimy tak chwilę na tarasie schroniska, patrząc w noc.

– Chyba trzeba iść spać – przedstawiam propozycję nie do odrzucenia.

Okno na sali z łózkami było szeroko otwarte, więc i tu chłód daje się we znaki. Może gdyby jeszcze nie ta wilgoć. Rozpinam mój śpiwór. Zżyłem się z nim. Mogę na niego zawsze liczyć. Nie wyobrażam sobie teraz drogi bez niego. Bez jego sympatycznego czerwonego koloru, bez jego ciepła i miękkości. Bez tego kaptura, który mogę naciągnąć na głowę. Bez małych sznureczków, którymi zaciskam jego krawędzie na moich ramionach. Pod głową mam reklamówkę ze zwiniętym polarem. Tak jest wyżej. Szczególnie mi to odpowiada, gdy przewracam się tak jak teraz, na bok. Takahashi i Staszek też już leżą. Ciemność wpływa do sali i snuje się pomiędzy łózkami. Zwijam się w swoim śpiworze jeszcze bardziej. Z ostatnim ruchem tracę kontakt z rzeczywistością. To jednak wcale nie znaczy, że ona albo coś, co jest ponad nią, traci kontakt ze mną. Po prostu pozwalam się unieść. Życiu, które jest. Nawet jeśli mnie nie ma.